

SZTANDAR POLSKI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
ulica Ochronek Nr. 4.

EKSPEDYCJA
w Trafice (Hotel Żorża), róg Placu
Maryackiego i ul. Krętej.

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.

WYCHODZI CO DRUGĄ SOBOTĘ.

PRZEDPŁATA

w miejsen kwartalnie 75. ct.
z przesyłką do domu 85. „
na prowincji kwartalnie . . . 90. „
za granicą 1 zlr. — „
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct

Nr. 25.

Lwów, 6. Marca 1880.

Rocznik I.

O dziennikarstwie galicyjskiem

I.

Czy mamy dziennikarstwo polskie w Galicyi.

Wszakże w całej Galicji ani jednego nie ma dziennika, któryby nie był redagowany w jednym z naszych „krajowych“ języków! A za „krajowe języki“ uznane są w królestwach Galicji i Lodomerji, w Wielkiem Księstwie Krakowskiem z księstwami Osowiecimskiem i Zatorskiem język polski i ruski! Skoro więc wychodzą dzienniki w języku polskim, mamy oczywiście i dziennikarstwo polskie — cóż znaczy powyższe pytanie?

Zapewne; nie podlega wątpliwości, że w tem znaczeniu, dziennikarstwo polskie mamy — mamy polską, bo używającą języka polskiego, prasę; czy jednak, aby w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu, a w znaczeniu jedynie właściwym, mieć polskie dziennikarstwo, wystarcza samo posługiwanie się językiem polskim w redakcji polskich dzienników, to inna rzecz. Inna też kwestja i to, czy my, mając w „Galicyi“ prasę polską, ponieważ ona tego języka używa, mamy ją także polską i z ducha, nie tylko z języka, z formy.

Roztrząsnijmy rzecz odpowiednio do założenia, aby odpowiedzieć na pytanie postawione na czele. W tym celu jednak wypo-

wiedzieć wprzód musimy zasadę, z jakiej wychodzimy sądząc dziennikarstwo wogóle. Zasada to wprawdzie elementarna i powszechnie znana być by powinna, — dla wygody jednak czytelnika, aby jej sobie dopiero przypominać nie potrzebował, wyłożymy ją tu w krótkości... Niech to jednak nikomu nie ubliża.

Uczynimy to w bardzo przystępny, bo w katechizmowy sposób, zapytań i odpowiedzi.

* * *

Otóż najpierw zapytujemy, — co jest dziennik?

Dziennik, to pismo, podające historję dnia, jaka mu wypada z zakresu, który sam sobie ustanawia: historję dnia, dotyczącą spraw całego kraju, jeżeli jest pismem stołecznem; dotyczącą prowincji, jeżeli jest pismem prowincjonalnem; jednego miasta, lub miasteczka, jeżeli jest pismem ściśle lokalnem.

Czy dziennik podając wspomnianą historję dnia, ma się w zadaniu swem trzymać sposobu kronikarskiego, tj. nagiego rejestrowania dokonanych faktów, czy też ma o nich także sąd swój wyrażać?

Nie należy zapominać, że mowa tu o historji dnia, a jeszcze Schiller powiedział, że „die Weltgeschichte ist das Weltgericht,“ historja więc sądzi, i do dzienników zatem sąd, zdanie należy o faktach, jakie zapisują, dlaczego się dziennikarstwo także pisaną opinią publiczną nazywa.

Jakież to są fakta, które rejestrować i sądzić zadaniem jest dzienników?

Dziedzina faktów dziennikarstwa, to dziedzina wszelkich objawów tak moralnych, jakoteż materialnych kraju i społeczeństwa, w którego usługach dziennikarstwo zostaje. Ztąd wynikł podział dzienników na polityczne, literackie, naukowe, ekonomiczne i t. d. są wreszcie pisma do działu dziennikarskiego należące z zadaniem jeszcze bardziej ograniczonym, jak n. p. pisma, poświęcone jakiejś specjalnej gałęzi, bądź to moralnych, bądź materialnych interesów społeczeństwa, pisma fachowe.

Czy dziennikarstwo ma także obowiązek zwracać uwagę na „zagranicę,“ czy też interesować się ma samem jeno społeczeństwem i krajem własnym?

Jak w wychowaniu obywatela, tak też w tym względzie w dziennikarstwie jedna obowiązuje zasada, wypowiedziana jeszcze przez Maksymiljana Fredrę, ta mianowicie, że dobrze jest znać rzeczy cudze, ale przede wszystkim swoje się znać powinno.

* * *

Oto są główne zasady, jakeimi dziennikarstwu powodować się należy, jeżeli ma ono odpowiedzieć swemu celowi. Że zaś celem dziennikarstwa galicyjskiego jest być polskiem, i co do ducha, nietylko co do języka, to niepodlega najmniejszej wątpliwości, bo jest nawet rzeczą konieczną w obecnem położeniu narodu naszego. Według więc owych zasad rozpatrzmy się w dziennikarstwie „galicyjskiem“ polskiem i osądziwszy je,

W MOSKWIE I W ORLEANIE

(szkic do powieści)

napisał

FELIKS KOZUBOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

III.

Major Miński, dr. Troczewski.... kapitan J... i sługa twój (tak dalej opowiadał mi Władysław) oraz dwudziestu strzelców szwadronu, byliśmy od dwóch tygodni zakwaterowani w obszernym domu p. de Malmy, notaryusza i członka generalnej Rady departamentalnej.

Właściciel, powszechnie dla swej prawości szanowany, mężczyzna lat średnich, wysokiej okazałej postawy, sam służył niegdyś w Algierze pod sławnym de Lamoricierem i uczestniczył w rozbięciu i wzięciu w niewolę Abd-El-Kadera (21 grudnia 1847 r.)

Rodzinę jego, składała jedyna córka Helena — śliczna, choć nadzwyczaj wątła, dziesięcioletnie dziewczątka, któremu nieraz, moi koledzy dobrze dokuczali, przesładując je za okazywane mi czasem pierwszeństwo.

Helenka, nad wiek rozwinięta umysłowo — uczyła się ślicznie na pensyi (była już w

trzecim oddziale) i prawie już z nią mówić można było.

Wielbiciel niezmierny piękna w przyrodzie, szczególnie zaś gdy się ono wdzięcznością i delikatnością kształtów objawia w kobiecie — postępowałem z Helenką, pół żartem pół seryo, ale jak z dorosłą już panią, sprzedającą grzecznością obejścia.

Siedząc przy niej z stołem — wybierałem jej potrawy — pamiętałem aby jej szklanka była zawsze w równych częściach wodą i winem napełnioną; i zaraz pierwszego dnia zwróciłem uwagę lokaja, że z obnoszeniem półmisek zaczynać winien od dziewczynki; nareszcie we drzwiach, przepuszczałem ją zawsze przed sobą, niemówiąc do niej inaczej jak: Mademoiselle Helene.

Za te grzeczności i drobne względy (słuchałem nieraz całemi godzinami cierpliwie jej miłego, dziecinnego szczebiotu) dziewczę bardzo mię polubiło.

Nigdy zaś nie zapomnę pół-smutnej, pół zabawnej sceny, w wigilię strasznego dnia naszego rozpaczliwego boju.

Dowiedziawszy się, iż Helenka zamierzała ofiarować mi srebrny narecznik do szabli, z haftem własnej roboty — i ja kupiłem jej małą pamiątkę.

Wieczorem, wolny od służby, grzejąc się

przy kominku, gawędziłem z p. de Malmy na ulubiony nam obu temat życia w pustyni.

Ex - porucznik huzarów, opowiadał mi jakąś przygodę na Marokańskim pograniczu, gdy weszła jego córeczka i otrzymawszy od ojca pozwolenie ofiarowania mi swej robotki, pobiegła do swych pokoiów i wróciła niosąc już w ręku mój pałasz z misternie wypracowanym narecznikiem uczeponym u rękójści.

— „Jeżeli pana jutro... zabiją to... to ja“ — szepnęła.

Spojrzałem na nią uważnie.

— „Cóż pani?“

— „Będę.. bardzo smutna!“ — dodała podając mi swą małą rączkę do uścisku.

Ja, dałem jej w zamian za szarfę.. lalkę. Lalkę prześliczną, dużą — lalkę na sprężynach, chodzącą nawet za pomocą wewnątrz ukrytego mechanizmu.

Dziewczynka podniosła na mnie z rodzajem niewymownego wyrzutu swe duże, czarne oczęta.

— „Śliczna lalka“ szepnęła „ale ja się już lalką nie bawię.“

Ojca w tej chwili na dół zawołano.

Wzięła mię za rękę.

— „Daj mi poruczniku portret twój.“

— „Dam ojcu — obiecałem. Tobie zaś Helenko, jak będziesz miała przynajmniej lat... piętnaście.“

odpowiedzmy na pytanie, w tytule artykułu tego postawione.

W tym celu zapytujemy najprzód, czy dziennikarstwo galicyjskie, mówimy tu przede wszystkim o lwowskim dziennikarstwie, jest stołecznem, czy też tylko prowincjonalnem. W odpowiedzi na to twierdzimy stanowczo, że w obec Polski ciężą na dziennikarstwie lwowskim obowiązki prasy stołecznej, chociaż ze względu, iż Lwów jest głównym miastem tylko jednej prowincji, a stolicą całej Polski Warszawa, ciężać by na niej powinny tylko obowiązki prasy prowincjonalnej.

Twierdzenie to wynika logicznie z tego założenia, iż w ścisłym znaczeniu tego wyrazu stolicą, zowie się to miejsce, w którym mieszka król — panujący, gdzie znajduje się jego tron (po staropolsku: stolec, sław. prestol), ponieważ jednak nie mamy obecnie królów, a dawna tych królów stolicą zamiast być przybytkiem tronu królewskiego sama w kajdanach, z kagańcem na ustach, przechowuje tylko okowy, które całą a przynajmniej największą część Polski dalszem swem opasują rozgależeniem, — faktyczną więc stolicą Polski jest jeszcze Lwów, jako przybytek królowej wszystkich podległych ludów: — (na razie jakiej takiej) wolności myśli i słowa.

Prasa więc miasta Lwowa, na której ciąży ważny, wielki, królewski obowiązek polskiej prasy stołecznej, powinna by więc korzystając z wolności, ile jej posiada Galicja, przedstawiać jaknajwierniejszy obraz całej Polski, tak pod względem jej moralnych jak też materialnych interesów, i być jaknajwierniejszym wyrazem jej pragnień i celów, jej smutków i radości.

W prasie lwowskiej, „galicyjskiej“ powinniśmy móżdż obcować z Koroną, Litwą i zakordonową Rusią; ona tak resztę Polski obznajamiać powinna z tem, co się dzieje w Warszawie, w Wilnie, Kijowie, Poznaniu, wydawać o tem opinię swoją, jak być tego rzecznikiem przed całą Europą; tak samo, jak delegacja galicyjska we Wiedniu rzecznikiem być powinna przed światem interesów całej Polski. Jak jednakże nie spełnia tego patriotycznego obowiązku delegacja galicyjska we Wiedniu, chociaż się nazywa i jest nazywana polską, tak nie spełnia go także prasa galicyjska, aczkolwiek polskim przemawia językiem.

Zawsze więcej o całej Polsce dowiedzieć się można z pism poznańskich, które, tak o Zaborze moskiewskim, jak też o Lwowie i Krakowie a nawet o delegacji Wiedeńskiej, w tych trzech razach ostatnich nawet lepiej, niż pisma galicyjskie, są poinformowane. Prasa więc poznańska jest więcej polską, niż lwowska, więcej ma tytułu do nazwy „stołecznej“: — prasa lwowska pomimo, iż, jak powiedzieliśmy, ciąży na niej królewski obowiązek polskiej prasy a to prasy stołecznej, stoi, w tych przynajmniej czasach, tylko na wyżynie dziennikarstwa prowincjonalnego galicyjskiego, ale nie stołecznego polskiego.

A może to zresztą nie na Lwowie spoczywa ciężki ten obowiązek, którego prasa jego udźwignąć nie może, może to Kraków, niegdyś także stolicą polskich monarchów, jest dziś stolicą króla-ducha polskiego dziennikarstwa?

Kończmy jednak, bo tam jeszcze smutniej...

W następnym numerze „Sztandaru pol.“ postaramy się rozebrać przyczyny, dla czego w Galicji dziennikarstwa polskiego nie mamy; podamy oraz bardziej szczegółowy przegląd i charakterystykę jego. W trzecim artykule podamy środki, jakby złemu zarządzić należało.

Tymczasem zwracamy uwagę czytelnika na „głosy“ dzienników poznańskich o dziennikarstwie galicyjskiem, które na innym podajemy miejscu, a które niestety tylko potwierdzają zdanie, jakie, wszak każdy to przyzna, jak najpoważniej wypowiedzieliśmy. Jak nas prasa warszawska sądzi, tego ona napisać nie może. Wątpimy, czy z większym jest dla Galicji uznaniem, niż opinia publiczna braci Wielkopolskiej.

Głosy dzienników poznańskich o dziennikarstwie galicyjskiem.

„Dziennik poznański“ pisze: „Kuryer Poznański“ w ostatnim numerze słusznie się zali na prasę galicyjską a mianowicie na „Czas“, że nie uważa za stosowne pomieszczać w swych szpaltach nie tylko już w całej osnowie przemówień posłów naszych czy to na sejmie pruskim czy parlamencie niemieckim — ale nawet nie podaje przemówień tych w streszczeniu. Słuszny to żal, i my w tym względzie sekundujemy „Kuryerowi Poznańskiemu“ jak najmocniej. Bo

istotnie taka praktyka jest szkodliwą i pod względem solidarności narodowej i pod względem politycznym. — Zachody, prace, zgoła dola i niedola nasza nie powinny być i nie są też bez istotnego interesu dla całego ogółu polskiego; dla czego więc pimiąć milczeniem to, co się dzieje w jednej części ojczyzny naszej, dla czego pomijać jej prace, usiłowania, środki obrony dla poprawienia swej doli? My inaczej rozumiemy obowiązki publicystyczne polskie i dla tego nie zamykamy się w granicach naszej prowincji, lecz w miarę naszej możności i środków, jakimi rozporządzamy, notujemy wszelkie godne zaznaczenia objawy czy to sfery politycznej, czy narodowej, czy wreszcie społecznej dotyczące a łamy pisma naszego, jak sobie pochlebiamy, są tego dowodem. Wreszcie sam „Czas“, aczkolwiek dzieli nas z nim bardzo ważne różnice w zapatrywaniach politycznych i społecznych, przyznał wielokrotnie pismu naszemu zasługi, jakie zjednało sobie, nie spuszczać z swej uwagi i spraw w Galicji traktowanych i omawiając je z stanowiska lokalnego prowincjonalnego i ogólnie polskiego, dla czegoż więc, skoro uznaje pożytek takiej praktyki, sam się do niej nie stosuje i przez to wyrządza krzywdę nie tylko posłom naszym, ignorując niejako ich prace, które powszechnie i słusznie są uznawane, ale wyrządza ją także ogółowi polskiemu, skąpiąc mu wiadomości, które w wysokim stopniu go obchodzą — Sprawiedliwość wyznać nam nakazuje, że dzienniki lwowskie innej się w tym względzie praktyki trzymają i zawsze prawie zamieszczają in extenso mowy posłów naszych bez względu, do jakiego stronnictwa się zaliczają. Widocznie wiedzą, że przemówienia ich nie są wyrazem przekonania osobistych indywidualnych, ale wyrazem całego koła polskiego, które znów reprezentuje cały tutejszy ogół polski. „Czas“, co obowiązek obywatelski otwarcie powiedzieć nam każe, jeśli robi w tym względzie wyjątek, to tylko dla przemówień, które wychodzą od osób, o jakich przypuszcza, że podzielają jego zapatrywania. — Myślimy przecież, że są rzeczy i sprawy, które stać powinny ponad stronnictwami dążnościami i aspiracyami, a do takich zaliczamy pomiędzy innymi i prace kół naszych polskich Tymczasem, jeśli nas pamięć nie zawodzi, z licznych mów wypowiedzianych przez posłów naszych podczas obecnej kadencji sejmowej „Czas“ ani jednej nie zamieścił.

Tak samo dzieje się i z wewnętrznymi naszymi sprawami; co do nich cała w ogóle prasa galicyjska zachowuje się dość wstrzemięźliwie. Wspomniemy tu tylko o sprawie utworzonego tu

Dwie łezki błysnęły w oczach dziecka. — „Quinze ans!“ powtórzyła. „Je les aurai bien un jour.“

I ze śliczną, gniewną trochę miną, wybiegła z pokoju; mnie zaś żal się zrobiło żartu z lalką.

Nazajutrz rano, przed wymarszem na skraj przedmieścia — podano ostatnie wspólne śniadanie.

Wyobraźcie sobie jednak nasze zdziwienie, gdy wchodząc do jadalnej sali, zastaliśmy w niej p. de Malmy, w myśliwskim stroju, z amerykańską ładownicą przez plecy, z podwójnym ryflem w ręku, opatrzonym krótkim, obosiecznym bagnetem.

— „Pozwólcie panowie, że wam będę towarzyszył w winnicę!“ rzekł witając się z nami.

Spojrzeliliśmy po sobie.

— „Panie de Malmy,“ odrzekł po chwili major Miński, „masz córkę — życie twe dla niej się przyda; ofiary więc tej przyjąć nie możemy.“

Uśmiechnął się smutno, lecz odpowiedział z wyrazem niezłomnego postanowienia:

— „Francya, nie zapomina o sierotach swych żołnierzy; — ja zaś mam spełnić mój obowiązek obywatela.“

Znaliśmy jego nieugięty charakter — ser-

decznych więc uściskiem dłoni odpowiedzieliśmy staremu wiarusowi.

Śniadanie było nad wyraz wesołe — ożywione.

Żarty i dowcipy sypały się jak z rękawa. Dla wielu miały to być ostatnie błyski dobrego usposobienia.

Niejedne uśmiechnięte usta dotknął w godzinę potem zimny pocałunek śmierci.

Lekkie, wybornem bordeaux zakropione śniadanie, przerwały nam przeciągłe dźwięki trąbek w ulicy.

Pan de Malmy wziął w rękę duży, w czarną skórę oprawny pulares.

— „Mam złe przeczucie“ — rzekł do nas.

„Przedmieście pewno zostanie zburzone, aby więc Bawarowie nie dobrali się do mej kasy, lub żeby ją nie rozbiły granaty — przeniosłem wszystko, co w niej było, do banku p. S., otrzymane zaś pokwitowanie i trochę gotówki złożone są w tym pularesie. Tu całe mienie kilkunastu rodzin i całe mienie mej Helenki. Jeżeli zostaną zabity — pamiętajcie panowie wyjąć mi go z za piersi i wręczyć potem prezesowi naszej izby. Wczoraj wieczór późno już było — uczynić tego nie mogłem.“

Smutna chwila — pochyliłiśmy w milczeniu w głowy.

Przez drzwi otwarte wbiegła na pół u-

brana Helenka, i rzuciła się ojcu w objęcia.

— „Papo, papo! nie chodź tam w winnicę — nie chodź proszę!“ modliła czepiając się szyi rodzica. „Mnie panna Gerand (bona) chce odwiedzić do klasztoru, po tamtej stronie Loary; ale ja nie pójdę — nie!“

Łza błysnęła w oku ochotnika — złożył gorący pocałunek na pięknem czole zrozpaczonej dziewczynki.

— „Bądź grzeczną i spokojną Helenko! — wierz mi ja muszę iść z nimi, to mój obowiązek... wieczorem się zobaczymy.“

— Ale ja chcę z tobą... z nimi — ja się kul niemieckich weale nie boję.

I nagle:

— „Ach, te Niemcy!“ krzyknęła z dziką nienawiścią w głosie. „Cośmy im zawinili! — Rabusie!“

W tem zawołaniu dziecka, jakaż głęboka prawda się zawierała!

Zemdlone dziewczę wyniosłem z sali i oddałem w ręce bony, siedzącej już w powozie.

Konie nasze za mur koszar odprowadzono i cały szwadron, zbrojny w małego kalibru, lecz także 1200 metrów niosące karabinki, posunął się naprzód i obsadził wraz z legją winnicę.

W chwili, gdy mijaliśmy w nocy usypa-

t. z. Stowarzyszenia obywatelskiego, o sprawie udziału w komitecie wystawy bydgoskiej, przeciw czemu wystąpiły z wyjątkiem jednego pisma wszystkie tutejsze a dzienniki galicyjskie okryły się w tym względzie togą milczenia. To samo powiedziec się da o sprawie pominięcia języka polskiego w petycji niedawno ztąd do ministra wyznań i oświecenia uchwalonej — i o wielu innych. A przecież głos ich, jak zwykle głos tych, co po za walką stoją, nie byłby przeszedł tu bez należytego wrażenia i skutku. Zresztą są sprawy i rzeczy, które obchodzą ogół cały polski, słusznie więc prasa polska tam, gdzie ma możność i swobodę po temu, omawiać je winna i tego też się w imię dobra ogólnego domagamy. Przekonani jesteśmy, że prasa galicyjska przyjmie te nasze słowa bez żadnej drażliwości. Wiedząc, że są wypływem serdecznego pragnienia dobra ogólnego a nie, broń Boże, jakichś kwasów lub stronnicych niechęci i że w przyszłości i w tym względzie spełniać będzie swój obowiązek, jak go spełnia pod innymi względami.

W „Warcie“ czytamy:

Położenie Koła Polskiego we Wiedniu staje się coraz bardziej zagadkowym. Mgła jakaś nad tem Kołem zawisła. Najsilniejsze w sejmie stronnictwo, reprezentanci wielkiego kraju, tak zwanego koronnego, główna dzisiaj Austrii podpora tak w polityce zagranicznej, jako i we wewnętrznych z liberalami utarczkach: Polacy we Wiedniu czynią Cislitawii jakieś posługi, których wartości dopatrzeć się nie możemy. Nie spadły za nie na Galicyą żadne ani polityczne ani nawet ekonomiczne „laski“. Polacy więc służą i służą, dźwigają na barkach swoich każde ministerstwo, a ostatecznie w Galicyi dzisiaj głód największy, i podatki najcięższe, i najsilniejsze agitacje Moskali przez prawosławną propagandę. O braciach swoich pod innymi zaborami panowie Galicyanie jakby zapomnieli. Zapomnienie to dochodzi do tego stopnia, że ani nie notowali epizodów walki posłów naszych toczonych w Berlinie. Była to w prawdzie walka tyralierska, jakżeśmy wyżej powiedzieli, ale zamilczeć o niej nie było wolno. Słusznie też ujmuje się za posłami polskimi i sprawą polską wczorajszy „Kuryer Poznański“, zarzucając pismom galicyjskim grzeszną w tej mierze obojętność (nie wyjmując „Czasu.“ Podpisujemy te żale, żałujemy tylko, żeśmy ich nie czytali już rychlej, np. zeszłego lata przy okazji rozpraw nad clami, gdzie dobrze wychowany „Czas“ nie powtórzył nawet mowy Posła Gnieźnieńskiego, znaczenie której

ekonomiczne, polityczne i narodowe uznała cała prasa zagraniczna.

Język urzędowy.

(Z Urzędnika).

Przed innymi sprawami kolejowymi, podnosimy tutaj przedewszystkiem sprawę może najważniejszą ze spraw kolejowych, bo sprawę zaprowadzenia języka polskiego, jako urzędowego w zarządach wszystkich kolei galicyjskich.

Tę ważną sprawę omawiano już tyle razy w naszych dziennikach, że zdawałoby się iż jest ona zupełnie wyczerpaną i dostatecznie omówioną. A przecież nie ma dotąd żadnego rezultatu z podniesienia jej i jest ona zapewne jeszcze w tym stadium — szczególnie w umysłach pewnych sfer — że trzeba się nią z konieczności jeszcze więcej zajmować.

A przecież to sprawa jasna. Na polskiej ziemi, chcemy mieć polskie instytucje prywatne, zwłaszcza tutaj gdzie rząd sam daje najlepszy przykład ze siebie owym nieproszonym opiekunem naszym, uszczęśliwiającym nas swoją niemiecką gospodarką. Doszliśmy rzeczywiście do niedorzeczności. Rząd ma język polski jako urzędowy, zaprowadzony u siebie, a prywatne instytucje żyjące z kraju polskiego, mające w swym składzie rad zarządowych Polaków, nie mogą się zdobyć na zaprowadzenie słusznie przez kraj cały wymaganego języka polskiego w administracji tych instytucji.

Przedewszystkiem jednak mamy żal wielki do naszej delegacji w radzie państwa. Spodobności było wiele, do podniesienia tej kwestyi i postawienia jej tak, aby ona wyszła jako jedna z ważnych żądań kraju, który wreczcie swymi podatkami gwarantuje powodzenie i byt tych instytucji stojących często nawet wrogo, wobec ogólnej gospodarki i dobrobytu kraju. Delegacja nasza zdaje się, iż zaniedbała pochwylenia sposobności, podniesienia owej sprawy — zajęta zapewne innymi ważniejszymi sprawami — których niestety nie znamy, dla tego jedynie, iż również nie ma z tych ważniejszych spraw dodatnich rezultatów... Była tam wprawdzie raz mowa podobno w Kole polskiem, o potrzebie podniesienia sprawy zaprowadzenia języka polskiego na kolejach krajowych — ale co dalej się stało z tą sprawą, tego nie wiemy, pokryło ją bowiem głębokie milczenie.

Aby więc ta sprawa nie ucichła zupełnie lub nie ugrzęzła w wielkiej polityce Koła polskiego, podnosimy ją na nowo i podnieśliśmy jeszcze nie raz, gdyż jest to sprawa bardzo ważna dla kraju.

Setki wykształconej młodzieży naszej wależa się bez zatrudnienia. We Lwowie stoi wspaniały gmach szkoły politechnicznej, młodzież garnie się do nauki — lecz z troską na czole, co będzie po ukończeniu studiów? Przy kolejach naszymy mamy natomiast obcych przybyszów, zajmujących miejsca tym, którym się takowe słusznie na ich ziemi należą.

Gdyby zaprowadzono język polski i ściągnięto generalne dyrekcje kolei do kraju, wnet by się otworzyły miejsca dla kilkuset ludzi, nie mających dzisiaj zatrudnienia lub bardzo lichę.

Na teraz kończymy, w najbliższym zaś czasie pomówimy obszerniej o tej kwestyi.

W. L.

Przemysł domowy.

II.

Zaledwie kilka lat temu, jak podnoszenie spraw przemysłu domowego, zastanawianie się nad tymże, w ogóle wszelkie usiłowania, aby zwrócić uwagę w kraju na tę jedyną prostą drogę do zrodzenia ruchu przemysłowego, puszczane były mimo uszu, lub wywoływały ironiczny uśmiech nawet na ustach uprzywilejowanych powag ekonomicznych, nie mówiąc już o politycznych. To też nie dziw, że prace tak znakomitego obywatela, jakim jest hr. Włodzimierz Dzieduszycki uważano za ekscentryczną fantazyę pańską, a zbieranie okazów ceramicznych z całego kraju, *recte* garnków i misek, to już piętnowano chorobą, manją garnkową.

Tak samo szkoła snycerska w Rymanowie, wyrób koronek w Chorkówce, nie mogły się pomieścić pod inną formą w wielu głowach, jak również tylko jako wybryk filantropijny kobiecy. Nieustannie nawoływanie obudziło jednak ze snu niewielkie kółko poważniejszych osób, które zastanowiwszy się bliżej nad tem, czym jest i czym być może przemysł domowy, nie wahało się przyłożyć ręki i przy usilnym nacisku W. hr. Dzieduszyckiego powstała szkoła koszykarska w Krakowie, a garncarska w Kołomyi. Następnie druga szkoła koszykarska powstała w Wiazownicy, przeniesiona później do Jarosławia; nie wol-

drogi — pięć granatów, jeden po drugim, przeraźliwie świszcząc, przeleciało tuż nad naszymi głowami i pękły między domami przedmieścia.

Po pierwszym, tak świetnie odpartym napadzie wroga, w którym, jak to wyżej powiedziałem, krzyżowy ogień naszych Polaków i kartacze tak sumiennie zostały przeprowadzone — właśnie drugi przypuszczono, gdy niespodziewanie, ukazała się w zasięgu Helenka.

Jak śmierć blada, w poszarpanej i pokrzwawionej swej wiśniowej pensyonarskiej sukience, rzuciła się struchlałemu ojcu na szyję.

— „Ty tutaj? ty?“

Załamano ręce, nie mogąc wymówić więcej i jednego wyrazu.

I chwilę tak, w ogniu i w dymie zajądłej walki, wśród świstu pocisków, przecinających mgłę co chwila, stał nieszczęśliwy tuląc swe dziecko do piersi, z okiem bezwiednie wypatrzonem w ómę drącego się w winnicę wroga.

Dziewczę zdążyło jeszcze rzucić mi uśmiech przez łzy — uśmiech pełen przywiązania.

Nabijałem właśnie lufki mego rewolweru, wystrzelone w pierwszym starciu.

Chciałem coś rzec, lecz pękający o kilka kroków granat bawarski ogłuszył nas łoskotem — osypał ziemią z taką siłą wyrzuconą, iż nam się drobne jak ziarenka zboża kamyczki, w skórę jak ptasi śróć wbiły.

Gdy przeszło kilkusekundowe odurzenie po tym huraganie ognia i żelaza — ochotnik leżał na ziemi nurzając się we krwi.

Przy nim Helenka, z główką na piersiach, jak myśleliśmy, zabitego ojca.

Porwać dziecko na ręce i wrócić mu przytomność za pomocą angielskiej soli, którą miałem ze sobą — było dziełem jednej chwili.

Położyłem je w głębokim rowie i ukłękłem przy niem, ocierając zmoczoną chustką krwią obryzganę jego czoło.

Nie było ranne.

— „Co się stało? powiedz Helenko! dla czego tu jesteś?“

— „Ojciec!“ szepnęła chwytając mię za ręce.

— „Żyje — ranny tylko lekko. Lecz dla czego rzuciłaś pannę Gerand?“

— „Niemcy zabili granatem konie nasze, bonę i Andrzeja zaraz przy ulicy Viviers, wiesz pan, na zakręcie do miasta. Zabili — zbrodniarze!“

Porwała się na równe nogi i nim przeskodzić zdołałem jej zamiarowi, wyrwała

leżącemu o krok trupowi jednego z mych podoficerów nabity rewolwer z za pasa.

Kawałki sznura przeciętego odłamem pocisku, wisały u kolby jeszcze.

— „Zemszczę się za ojca!“ — krzyknęła.

I z krawędzi rowu, na który skoczyła z właściwą dzieciom zręcznością — podniosła ciężką broń do oka, podpierając lufkę lewą rączką.

Ze znajomością rzeczy, której się po niej nie spodziewałem, ściągnęła kurek, by lepiej wymierzyć.

Zdumiony, ale — czemu nie rzec prawdy — i zachwycony odwagą dziecka, sprzeciwić mu się nie śmiałem.

Kolumna piechoty bagnutowała się z legionistami w winnicach — o dziesięć zaś kroków na prawo, Badeńskie dragony starali się wziąć naszą baterję.

Dziewczę chłodno zmierzyło w jakiegoś oficera.

Trafiony w piersi, chwycił się za nie ręką i runął z konia pod ziejące ogniem armaty. Padł strzał drugi — i drugi wróg wyleciał z siodła.

Ale i dziecku nie stało już odwagi.

Upuściła broń, słaniając się.

Chwyciwszy ją w pół ręką lewą, prawą dobyłem mój rewolwer, nie było bowiem chwili do stracenia.

no nam także zapomnieć o szkole snyderstwa w Zakopanem.

Nastąpiło otwarcie wystawy krajowej we Lwowie, a pyszny pawilon przemysłu domowego, zestawiony mozolną całoroczną pracą i ofiarnością, znowu hr. Wł. Dzieduszyckiego, otworzył dopiero oczy wielu niewiernym Tomaszom, że zaród przemysłu domowego w Galicji jest to potęga surowego materiału, który wzięty w ucziwe ręce, otoczony troskliwą, rodzicielską i bratnią opieką, zbadany gruntownie i wprowadzony w ruch prawidłowy, może w kilku latach zmienić zupełnie fizyognomję przemysłu krajowego ku lepszemu.

Na wystawie tej znalazł zwiedzający, jeżeli umiał i chciał szukać, mnóstwo dotykalnych faktów, które dawały najehlubniejsze świadectwo, że lud nasz tak wiejski jakoteż i małomiasteczkowy, w kierunku przemysłowym i rękodzielnictwa domowego ma wysoce rozwinięty zmysł. Gdy na wystawę krajową przybyli z Wiednia pp. ministrowie Chłumecky i inni, a szczególnie taka znakomitość na polu przemysłu domowego, jak radca ministerjalny Exner, który jest w Wiedniu duszą Muzeum przemysłowego, nie pomału zostali zdziwieni, widząc tak szeroką i bogatą arenę, na której w każdym dziale czy to wyrobów drzewnych, tkanin, czy ceramiki, można tysiące rąk zatrudnić, stworzyć obfite, nieustające źródło tak dla dobrobytu kraju, jakoteż i dla dochodów państwowych. I z tego to ostatniego powodu a nie innego, oświadczył się rząd z gotowością udzielania materialnej i moralnej pomocy.

Dwie szkoły przemysłu domowego t. j. koszykarska w Krakowie i garncarska w Kołomyi tak zaimponowały swemi okazami, że nawet hr. W. Dzieduszycki, ten wytrawny i sumienny pracownik, dozwolił się po części w pole wyprowadzić przez sprytnych nauczycieli Niemców a technicznych naczelników tychże szkół. Nie dziw więc, że i wiele innych osobistości dało się złowić, widząc jedyną drogę skutecznego rozwoju przemysłowego w szkołach przemysłowych, prowadzonych w takich warunkach, w jakich do czasu wystawy krajowej prowadzone były. Jedynie szkoła subwencjonowana w Zakopanem wystąpiła na wystawie w stadium niemowlęcym z cechą zarozumienia i niczem nieuzasadnioną oceną wartości wyrobów.

Produkcje szkoły snyderstwa w Rymanowie, koronki z Chorkówki, zyskały wprawdzie

— „Ergeb dich!“ — usłyszałem tuż nad głową.

Odpowiedziałem dwoma strzałami, ale podniesiona szabla dragona spadła mi na głowę, rozcinając kiepi i trochę czaszkę po drodze. Miałem oczy krwią zalane.

Gdym je przetarł, konie i ludzie zmieszani w jednej, bezkształtnej, krwawej masie, zawalił w półkole przód baterji; resztki dragonów, przesładowane strzałami naszych, mignęły na skrócie drogi; w winnicach zaś, już tylko pojedynczych bawarów, dobijali kolbami legjoniści.

W rękach mych była jeszcze Helenka, ale znów bez przytomności, własną już krwią zbroczona, z głęboką raną w lewej piersi.

Powierzyłem nieszczęśliwą służbie ambulansu — pocziwy zaś lekarz nasz Dr. Troczewski*), przewiązał mi głowę, umocował kiepi na opasce i pozwolił brać dalej udział w boju.

(C. d. n.)

powszechne uznanie od ogółu publiczności, zwiedzającej wystawę, podziwiano takowe, tworezynie tych ognisk przemysłu domowego zaszczycono medalami, lecz nie starano się zastanowić i już wtenczas odbyć porównawcze studjum, gdzie należy szukać i utrwaląć pepinjery rozwoju; czy w szkołach noszących na wpół cechę urzędową, czy też iść z racjonalną pomocą tym zakładom, które pod niestannem okiem, że tak powiemy redzielskiej opieki, o własnych siłach potrafiły w tak krótkim stosunkowo czasie wydać pożyteczne owoce swej pracy; — nad tem się niestety, jak należy, nie zastanowiono, warunków ducha rozwoju przemysłu u nas nie zbadano dostatecznie, gdyż ocenę i sprawozdania powierzono rękóm akademickich teoretyków, którzy, jakkolwiek w innym kierunku wiedzy mogą być bardzo uzdolnieni, jednak o przemysle domowym ani też o rozwoju jego najmniejszego nie mają wyobrażenia. Żaden z nich nie jest w możności rozwiązania najmniejszego zadania w praktyce, a jeżeli się porwie, aby teorię zbliżyć do praktyki, nie znając nic prócz technologicznych formułek, chcąc pouczać siły produkcyjne, jak to powiadają, zasypuje się najokropniej i wpada w labirynt, w którym ginie. Tak się rzecz przedstawiła np. podczas wykładów w Muzeum przemysłowym w ratuszu, które się rozpoczęły zaraz po wystawie krajowej. A chociaż ministerjum handlu dostarczyło systematycznych kolekcji demonstracyjnych do wykładów, dotyczących „przędzalnictwa“ czyli, jak się dawniej wyrażaliśmy i dotąd wyrażamy, tkactwa, akademicki prelegent teoretyk pogrzebał raz na zawsze wykłady w Muzeum przemysłowym, a kiedy takowe zmartwychwstań, trudno orzec.

Takiem samym, niestety, powagom utogowanym i ubiretowanym, polecono sporządzenie sprawozdań z poszczególnych działów wystawy krajowej z różnych gałęzi przemysłu, które, o ile nam wiadomo, nie ujrzały dotąd światła dziennego, a przynajmniej szersza publiczność mało się o nich dowiedziała. Sprawozdania te, o ile pamiętamy, nie miały być wykonane „za darmo“, lecz za stosunkowo bardzo przyzwoitem wynagrodzeniem.

Sprawozdania takie winne były przez Wysoki Wydział kraj. być publikowane i w kraju rozpowszechnione; czy to nastąpiło, nie wiemy, ale przynajmniej piszący niniejszy przegląd pomimo usilnych starań, nie mógł się dotychczas spotkać z temi pracami.

Przypatrzymy się, co się stało ze szkołami przemysłu domowego; jaki obraz przedstawiają po dwóch latach, o ile postąpiły i jakie wydały owoce.

Przedewszystkiem powinniśmy sobie przypomnieć, że wyroby t. z. szkoły koszykarskiej w Krakowie sprawiły w Wiedniu nie małą sensację, a że światła handlowego w przekonaniu, że tak doskonałej produkcji w kraju, z którego dochodzą głasy i jęki głodu i nędzy, odpowiadać musi i ilość produkcji, jeden kupiec przed drugim czynił zapytania a nawet zjeżdżano, aby czynić zamówienia i sporządzać kontrakty o dostawę, chociażby na krociową roczną wartość wyrobów koszykarskich.

Odjechali jednak rozczarowani przekonawszy się, że o dostawach i zakupnie hurtownem mowy być nie może. Co mogło spowodować takie rozczarowanie, o tem później pomówimy obszerniej na innym miejscu.

Szkołę koszykarską w Jarosławiu, której twórcą jest ks. Jerzy Czartoryski, (następnie szkoła ta była subwencjonowana przez rząd i pytanie czy dotąd nie odbiera zasiłków), oddano pod techniczne kierownictwo nauczyciela krajowego, który się wyuczył wyrobu koszyków w szkole krakowskiej, a nawet nie ręczymy, czy nie był wysłany i dalej. Szkoła ta pomimo pieczołowitości, jaka ją otacza c. k. starosta p. Beneszek w Jarosławiu, przedsta-

wiła się podczas zeszłorocznej wystawy także w nader smutnym i nie rokującym życia obrazie. Główną cechą licznych okazów było tandetne partactwo, które się niczem usprawiedliwić nie dało. Szkole tej rokowaliśmy już wtenczas zupełny upadek, jeżeli z gruntu nie zostanie zreformowaną. Być może, że czas niejaki będzie ona wegetować, ale nigdy nie przyniesie rzeczywistej korzyści przemysłowi krajowemu.

Pozostaje jeszcze trzecia szkoła, a to garncarska w Kołomyi, która również rokowała świetne rezultaty. O ile nam wiadomo, zakład ten nie mało już napsuł humoru swemu opiekunowi. Jedyną korzyść wyniesie p. profesor „niemiec“ przysłany przez ministerjum. Od czasu wystawy nie można się z wyrobami tejże szkoły spotkać, nie można więc także orzec, jakie poczyniła postępy.

(C. d. n.)

Kulparków.

Kulparków, o którym w ostatnim numerze donosiła „Strażnica polska“, ciśnie się gwałtem i do szpalt „Sztandaru polskiego“. Dyrektor zakładu, p. Dr. Maresch, którego z obowiązku naszego (lecz nie z powodu kłusania i napadania ludzi, jak to p. dr. Jekes w obronie dra Opolskiego śmiało twierdzić) jesteśmy zmuszeni wziąć w szerególną opiekę, jest tak łaskaw, iż idzie nam, jak to mówią „na rękę“ i staje się mimowolnym naszym obrońcą oraz głównym świadkiem, że redakcyja tak „Sztandaru polsk.“ jak „Strażnicy polsk.“ nie napada i nie kłusa niewinnych ludzi. Rzecz się ma, jak następuje. Dostawcą chleba dla zakładu Kulparkowskiego był p. Majer Mendel, od nowego roku jednak podpisał kontrakt na dostawę pieczywa p. Kalnicki. Widocznem jest, że w Dyrekcji i w Zarządzie zakładu Kulparkowskiego uważano taką dostawę za anormalną, a więc zbudziła się tęsknota za p. Majerem Mendlem. Lecz nie łatwiejszego, jak w obec samowładztwa doktora Marescha, który władzę swą uważa co najmniej za taką, jaką ma car Aleksander, pozbyć się p. Kalnickiego, i tak go ubawić, iżby nie tylko dzieciom swoim, ale wnukom i prawnukom w testamentie przekazał, aby się nie ważyli konkurować z Mendlami Majerami, jeżeli piekarzami będą, o dostawę chleba do zakładów krajowych. Otóż już w połowie stycznia Dyrekcya zakładu oceniwszy chleb za niedobry, skazała p. Kalnickiego na 20 złr. kary, następnie na 30 złr. i znowu w kilka dni na 50 złr. Dostawca, nie poczuwając się do żadnej winy i wiedząc, że postępowanie takie jest rozmyślnie, że kupowanie na jego koszt chleba u p. Majera Mendla nie jest niczem uzasadnione, nadto dostawczy od referenta Wydziału krajowego p. dra Hoszarda krótką i kategoryczną odprawę, nie widział innej rady, jak udać się do Sądu i tam zażądać przedewszystkiem komisji, któraby chleb nieprzyjęty, a mimo to na Kulparkowie zatrzymany, odebrała i przez urzędowych rzeczoznawców ocenić poleciła. C. k. Sąd wydelegował komisję w osobie p. rady Nikischy, wraz z sekretarzem i dwoma lekarzami; komisji tej towarzyszył i p. Kalnicki.

Taki aparat komisyjny wystarczył byłby dla każdego śmiertelnika, który się znajduje w posiadaniu zdrowych zmysłów, ale z p. Mareschem rzecz się ma zupełnie inaczej, gdyż tenże, będąc absolutnym panem życia i śmierci w Zakładzie Kulparkowskim, przyszedł do tego przekonania, że nie ma najmniejszego obowiązku liczenia się nawet z c. k. władzami, bo nawet Prezydya i trybunały sądowe zdaniem jego nie mają „żadnego prawa“ mieszać się do jego możnowładztwa w granicach Kulparkowa. (Swoją drogą, chleb p. Kalnickiego, który miał być przywieziony do Sądu, uważano za stosowne wynieść na strych i tamże schować).

*) Zabity w tem samym miejscu prawie o 5-tej wieczorem, dnia 31. grudnia 1870 r.

C. k. radca Nikisch był w ten sposób przyjęty wraz z resztą komisji, iż mu nie innego nie pozostało, jak wynieść się jaknajprędzej z Zakładu, gdyż dalszy nacisk bez poparcia siły zbrojnej mógł go jeszcze na większe nieprzyjemności narazić. Jak się c. k. Sąd na to nieuznanie przez p. dra Marescha władz zapatrują, objaśni czytelnikom dosłowne orzeczenie sądu :

„L. 10017.

Sprawozdanie c. k. Rady Nikischa, jako delegata sądowego w sprawie Jana Kalnickiego przeciw Wydziałowi krajowemu o przeprowadzenie dowodu ku wiecznej pamięci ze znawców, co do jakości chleba przez Kalnickiego na dniu 26. lutego 1880 r. zakładowi dla umysłowo chorych w Kulparkowie dostarczonego, a przez Dyрекcyę tego zakładu nie przyjętego, z powodu udaremnionej przez Dra Marescha, jako dyrektora tegoż zakładu czynności sądowej.

Wskutek powyższego sprawozdania, tudzież na wniosek p. Jana Kalnickiego, polecamy c. k. Radcy Sądu krajowego, p. Nikischowi, aby za przybraniem praktykanta sądowego p. Kahanego, tudzież z uwagi na stawiony przez dra Marescha, jako dyrektora Zakładu dla umysłowo chorych w Kulparkowie, opór przy asystencji c. k. żandarmeryi, o której dostarczenie równocześnie tutejszy posterunek c. k. żandarmeryi, wzywamy, — udał się dnia 3. marca 1880 przed południem do zakładu dla umysłowo chorych w Kulparkowie, tamże chleb przez Jana Kalnickiego na dniu 26. lutego 1889 dla zakładu dostarczony, a przez Dyрекcyę zakładu nieprzyjęty, od Dyrekyi tegoż zakładu odebrał, takowy po sprawdzeniu tożsamości opieczętował i do sądu tutejszego sprowadził. Zasadzając również pana dra Marescha, dyrektora tegoż zakładu, za nieuszanowanie i powadze sądowej ubliżające znalezienie się w obec delegata sądowego w dniu 1. marca 1880 w myśl §. 192 ces. patentu z dnia 3. maja 1853 Nr. 81 Dz. u. p. na grzywnę w kwocie 100 złr. w. a. do ośmiu dni w Sądzie tutejszym złożyć się mającą, a w razie nieściągalności takowej na dwudziestodniową karę aresztu, nakazujemy mu pod zagrożeniem dalszej kary dwudziestodniowego aresztu, aby chleb, o którym wyżej nadmieniono, delegatowi sądowemu, c. k. Radcy Sądu krajowego p. Nikischowi natychmiast wydał.

Do przeprowadzenia dowodu ku wiecznej pamięci ze znawców co do jakości dopiero wspomnianego chleba, a względnie do oględzin tegoż przez znawców i oddanie ich orzeczenia wyznaczamy termin na dzień 3. marca 1880 o godzinie 4. po południu w Sądzie tutejszym, a mianowicie w biurze c. k. Rady Sądu krajowego p. Nikischa, na którym obom stronom jawić się i za zezwoleniem sędziego, rzeczoznawcom takie pytania, któreby do wyjaśnienia lub uzupełnienia ich zeznań za potrzebne uważały, stawić wolno.

Przyznając nakoniec polikwidowane przez pp. rzeczoznawców Dra Jasińskiego i Geistlenera diety za dzień 1. marca 1880 każdemu w kwocie 4 zł. 15 ct. tudzież zarachowane przez p. Jana Kalnickiego koszta, a to :

- 1. za stempel do protokołu . . . 36 ct.
- 2. „ fiaker i rogatkę . . . 3 zł. 30 „
- 3. „ stratę czasu . . . 3 „ — „

zasadzamy z uwagi, że czynność urzędowa w tejże sprawie na dniu 1. marca 1880 przedsięwziętą się mającą przez Dyрекcyę zakładu dla umysłowo chorych w Kulparkowie, a zatem przez organ Świet. Wydziału krajowego udaremnioną została, na zwrot tych kosztów jakoteż na zwrot kosztów przez delegata sądowego porachowanych, a później świetnemu Wydziałowi krajowemu oznajmić się mających z poleceniem, aby powyż poszczególne koszta tak rzeczoznawcom jakoteż p. Janowi Kalnickiemu do 8. dni pod surowością egzekucyi zapłacił.

O tem zawiadamiamy obie strony, wzywając p. Jana Kalnickiego, aby dnia 3. marca 1880 o godzinie 9. przed południem w biurze

c. k. radcy Nikischa celem udania się do Kulparkowa w celu odebrania chleba się zgłosił, zaś pp. rzeczoznawców, aby dnia tegoż samego o 4. godzinie po południu w tym samym biurze, celem oględzin tegoż chleba i oddania orzeczenia się stawili.

Z c. k. Sądu krajowego.

L w ó w dnia 2. marca 1880.

Stanisławski.

C. k. radca Nikisch wraz z resztą komisji dostał się powtórnie do Zakładu Kulpark. pod osłoną żandarmów, uzbrojonych w nabite karabiny i nasadzone na lufy bagnety, a nie wolno nam i tego zapomnieć, że Jego Ekse p. Schenk prezydent Sądów, uznał poprzednio za stosowne zainterpelować w tej sprawie J. E. p. Marszałka krajowego, który wydelegował po zwołanej natychmiastowej ad hoc sesyi, członków Wydz. kraj. dra Hoszarda i dra Waygarta i prawdopodobnie ich obecności zawdzięczyć można, że p. dr. Maresch nie stawiał czynnego oporu. Komisya chleb zabrała i pomimo, że tenże już dnia 26. lutego, został upieczony, uznany został przez rzeczoznawców a nawet podobno i przez p. Hoszarda jako artykuł żywności, posiadający wszelkie zalety.

Jak nam donoszą, c. k. radca p. Nikisch wniósł odrębnie od tej sprawy skargę do c. k. Sądu karnego przeciw Dr. Mareschowi.

Zdaje się, że po tych wymienionych faktach będzie ogół obywateli w kraju przekonany, że urzędowanie p. dra Marescha na stanowisku dyrektora Zakładu w Kulparkowie stawia pożyteczność jego umysłową w nader wątpliwym świetle.

Otóż jest obowiązkiem naszym wypowiedzieć prawdę, że jakkolwiek p. dr. Maresch mógł być kiedyś nawet znakomitym psychiatrą, dzisiaj nim nie jest, gdyż wszelkie a liczne dowody, jakie mamy pod ręką w redakcyi, a które możemy poprzeć świadkami, upoważniają nas do twierdzenia, które zobowiązujemy się udowodnić przed każdym Sądem przysięgłych, że p. dr. Maresch nie tylko pod żadnym warunkiem nie odpowiada zadaniu funkcyonaryusza „Zakładu dla obłąkanych“, i winien być bez najmniejszej zwłoki usunięty.

W imieniu ludzkości wzywamy Wys. Wydział Krajowy, aby jako kompetentna władza zwierzchnicza nad Zakładem Kulpark. nie wahał się ani chwili usunąć p. Marescha, gdyż byłoby nader bolesnym, aby nad setkami niešťczęśliwych istot oddawać takiemu dr. Mareschowi samowładztwo nad ich życiem i śmiercią.

Dzika i nieczem niepomahowana bezwzględność tego człowieka doszła do tego stopnia, że lekarzy mu przydanych i urzędników traktuje na równi z ostatniorzędnymi parobkami. Przedewszystkiem każdy lekarz jest w tym Zakładzie marjonetką, której nie wolno mieć najmniejszego zdania, a tylko być ślepyim wykonawcą tego okropnego Moroka w Kulparkowskiej menażerji. Wyobraźmy sobie cały szereg dozorców, rekrutowanych po największej części z ludzi, którzy już gdzieindziej nie mogli znaleźć zatrudnienia, jak tylko na Kulparkowie, a można pojąć w jaki sposób odbywa się leczenie nieszczęśliwych ofiar. W obec takiego stanu rzeczy potrzeba wierzyć nawet w najmonstrualniejsze wieści, jakie się po za mury tego Zakładu wydobywają i krążą po całej okolicy.

Wysokiemu Wydz. Kraj. nie pozostaje inna droga, jak na tych miastowe zawieszanie czynności p. dr. Marescha jako dyrektora Zakładu dla obłąkanych w Kulparkowie i oprócz tego przeprowadzenie ścisłego śledztwa w „Zarządzie“ do czego sprawa chlebowa daje wytkniętą drogę. „Dyrekcya“ „Zarząd“ muszą być radykalnie zreformowane.

Jeżeliby jednak Wys. Wydział kraj. uważał artykuł powyższy, jako nieuzasadnioną napaść, nieopartą na prawdzie, w takim razie

powinna być redakcyja „Sztandaru pols.“ zaskarżoną przez c. k. sądy, jako taka, która rzuca niebezpieczne oszczerstwa.

Wiadomości z Ziem Polskich.

Wykup niewolników. Wielu ma zwyczaj zbierania marek pocztowych już postępowanych, ale nie wiedzą sami, dla czego. Przypominamy zatem czytelnikom naszym, że za dwa tysiące takich marek zebranych, można wykupić niewolnika Zebrane marki przyjmuje księgarnia pana T. Daszkiewicza przy ul. Wodnej w Pozn. na życzenie ks. prob Nitschkiego z Mosiny, które je interesowanym OO. Misyonarzom przysyłać obiecał. Uprasza się o powtórzenie tej wiadomości wszystkie nasze pisma, które dotąd o tem nie wspominały.

Carowi na jubileusz. „Germania“ zaznaczywszy, że Car Aleksander w początkach swego panowania wiele zasług położył około państwa rosyjskiego, pisze dalej: Rzady cara krwią zapisane będą w dziejach europejskich: Polska i Murawiew, Unici i Gromeka — te imiona, jakież żalobne budzą wspomnienia! Polacy padli ofiarą zwierzęcej wściekłości i okropnej zemsty cara za powstanie z r. 1863, unici celem uświetnienia rządowej religii rosyjskiej częścią okrutnie wyróżnieni, częścią nahajką wpędzeni do schizmatyckiej cerkwi. Liczby wymownym są na to dowodem: 83,000 Polaków wygnano na Sybir lub w głąb Rosyi; przeszło 100,000 uszło za granicę, 360 powieszonych, 82 miliony rubli ściągnięto groźbami i katowaniem z właścicieli, 2,700 dóbr zabrano i rozdano ulubieńcom cara, księgozbiory publiczne zniszczone albo do Petersburga wywiezione — cześć i godność polskich i litewskich dziewic i matron przez carskich służalców zhańbiona, tysiące niewinnych dzieci bez litości wybitych i wyciętych — Murawiew z Litwy, bogatej i ludnej, uczynił — cmentarz, sfluszczonej krwią i kośćmi bezbronno ludu. Na Litwie i w Polsce wyuczuli się czynownicy moskiewscy bezprawia, które teraz głoszą w Rosyi nihilisci.

Często i bardzo często boleścią serca na widok takich mordów i katuszy i męczeństwa Polski i Litwy przejęty, użalał się w obec świata i dziejów wiekopomny śp. Pius IX. Ojciec święty. Przypominał On bezustannie Carowi i groził strasliwym sądem Boga sprawiedliwego. W encyklice swojej dnia 30go lipca 1864 r. wydanej do Biskupów Polskich wznosi Ojciec święty proroczy swój głos i woła do Carów: Od Pana dana Wam władza panowania — od Pana, który uczynki wasze sądzić i myśli i uczucia wasze badać będzie; bo gdy jako słudzy królestwa Bożego sprawiedliwości nie będziecie wykonywali i woli Bożej pełnili — Pan Bóg strasliwie i prędko na was przyjdzie; a najsurowszy sąd czeka tych, którzy innemi rządzą. „Maluczkim miłosierdzie, potężnym sroga zgotowana kara.“ Słowa te Ojca św. wówczas pewnie wysmiano w pałacu zimowym Petersburgskim.

Dzisiaj zaś rozmyślają o sądach Bożkich, które dzieją się w domu tyrana. — Car Aleksander jest jedynastym w rządzie carów rosyjskich, któremu przydarzyło się 25 lat siedzieć na tronie despotów i panować. Sześciu zamachów na swe życie uniknął, podczas gdy jego poprzednicy, w ciągu swego panowania od nikogo nie napastowani, padli od ręki zbrodniczej.

Gon. Wielk.

Nazajutrz po zamachu w Petersburgu aresztowano 1,200 osób, a między niemi 60ciu oficerów i 115tu urzędników dworu. Car dał generałowi Hurce z własnej szkatuły 600,000 rubli, ażeby mu dopomógł w poszukiwaniu złooczyńców.

Na Wołyni! W sprawie wędrowki ludu wielkopolskiego odbiera „Goniec Wielk.“ następującą korespondencyją:

Poznań, w Piątek.

O ile slysze, znaczna ilość naszego ludu zamysla wynosic sie do Ameryki, gdzie, jak to zwykle bywa, zupełnie marnieje, tak materialnie jak i pod wzgledem narodowym.

Poniewaz „Goniec W.“ porusza wszystkie sprawy, które dają do polepszenia bytu materialnego i duchowego naszego społeczeństwa, pytam się przeto, czyby nie dało się za pomocą artykułów w „Gońcu W.“ pisanych, wychodźców tych skierować na Wołyń, gdzieby ludzie ci dla narodu naszego nie zginęli, ale przeciwnie żywioł Polski tam wzmocnili?

Niedaleko miasteczka Ludwiopola na Wołyniu jest tysiąc włók do rozkolonizowania. Wkupnego nie płaci się tam ani grosza, czynsz opłaca się tam dopiero po dwóch latach, i to rubla rocznie z morgi 300 prętowej, a więc dwa razy prawie tak wielkiej jak morga magdeburka; podatki płacą się dopiero tam po sześciu latach. Jeżeli zatem taki kolonista po opłaceniu kolei do Równa ma jeszcze 100 rubli w kieszeni, to może stać się czynszowym posiadaczem 65 morg magdeburskich, z których z powodu, że budynki i zasiew są jego własnością, nigdy ruszonym być nie może.

Jeżeliby „Goniec W.“ zechciał sprawę tę popierać, toby uczynił prawdziwie miłosierny uczynek, bo by może tysiące ludzi uratował od pewnej zguby w Ameryce. Gotowym do wszelkich bliższych jeszcze objaśnień.

Kronika.

Wybór prezydenta miasta. Czynność ta, która jest w ręku stu radnych, zbliża się do rozstrzygnięcia; kandydatów pozostało w rzeczy samej dwóch tylko, tj. p. dr. Milleret i p. dr. Gnoiński. Za jednym i za drugim rozwinęła się silna agitacja. Nagabywani codziennie o wypowiedzenie zdania, odpowiadamy stanowczo, że jakkolwiek cenimy wysoce osobistość p. dra Gnoińskiego, polecamy tylko kandydaturę p. dra Millereta. Nie szczędziliśmy starań, aby nabyć szczegółowych i wiarygodnych wiadomości, co właściwie spowodowało p. dra Gnoińskiego, że tenże po zręczeniu się kandydatury nie tylko na prezydenta miasta, ale nawet na członka Rady powtórnie to zręczenie cofnął i zgadza się na swój wybór.

Otóż sprawa cała tak się ma:

Pan dr. Gnoiński, jako człowiek wysokiej prawości, który się nigdy nie powodował osobistą ambycją, znając najlepiej swój stan zdrowia był świadom, że na mozolnem urzędzie burmistrza miasta, mianowicie w obecnym rozstroju gminy, nie będzie mógł zadosyć uczynić obowiązkowi, gdyż mu braknie siły fizycznej. A nie chcąc, aby jego nazwisko stało się przyczyną jakichkolwiek nieporozumień, napisał rezygnację prawdziwie obywatelską.

Pokutujący duch starej Rady, gdy się przekonał, że żadna inna kandydatura, przez niego podsunięta, nie licuje z ukartowanymi nadal projektami, nakreślił plan bardzo zręczny, rozumując jak następuje:

„Jeżeli udamy się do dra Gnoińskiego i przedstawimy niebezpieczeństwo zawichrzenia i nieomylną klęskę dla miasta, jeżeli takową upozorujemy szatą mniemanej prawdy, to p. dr. Gnoiński jako obywatel wysoce prawy, szlachetny i miłujący Lwów, gotów stawić na kartę nawet własne życie, jeżeli tego dobro miasta i kraju wymaga i przyjmie prezydenturę, która pod hasłem jego prawości bądź cobądź przeprowadzoną być musi. Naturalnie, wybór taki stanowić będzie dla nas już połowę wygranej, bo nie łatwiejszego jak, mając w nowej Radzie chociaż kilka zręcznych i odważnych zwolenników, wywołać następnie cały szereg niesnasków, spowodować burze i borby, zatruć żywot burmistrza taką goryczą i takim sprawki nasze pokryć płaszczykiem, że burmistrz musi zrezygnować z posady, a całą winę rzucić się na „kołtunów“ i na ich zwolenników. To

będzie akt pierwszy. W akcie drugim zaimprovizuje się drugą burzę; w łonie Rady powstanie zastęp obrażonych godności radzieckich i całość Rady zostanie zdekompletowaną.

W akcie trzecim — nowe wybory, które się muszą udać tak, jak chcemy, bo pozory wystarczą aż nadto, że Rada pod hasłem „Łączności i Zgody“, którąśmy w rumel nazwali „kołtunską“, zostanie uznana za niemożliwą, a wtenczas „nasi górą“.

Oto są słowa ewangelji i wielkopolitycznych projektów, jakie chce na scenę wprowadzić większość usuniętej starej Rady. My z naszej strony zapytujemy tylko wielce szanownego p. dr. Gnoińskiego, czy deputacya, która doń przybyła, nie takim językiem mówiła, jaki powyżej przytoczyliśmy? — Wątpimy, aby p. dr. Gnoiński chciał nam to zaprzeczyć; tak samo wątpimy, aby wierzył, że mu siły fizyczne dłużej jak kilka miesięcy pozwolą zasiadać na krześle prezydenta i pełnić sumiennie obowiązki. Można byśmy żalowali p. dr. Gnoińskiego, gdyby tenże dopiero po niewczasie miał się przekonać, na co użyto jego szlachetnego obywatelskiego poczucia.

Wiadomo każdemu o szlachetnym postępku p. Wacława Dąbrowskiego, którego znaczna większość członków nowej Rady uznaje za jedynego właściwego kandydata na wiceprezydenta. Tymczasem stronnictwo kandydatury p. dra Gnoińskiego głosi, jakoby p. W. Dąbrowski miał stanowczo orzec, że wiceprezydenturę pod dr. Milleretem nie przyjmie. Gdyby te pogłoski miały być prawdziwe, to jest również obowiązkiem naszym wyrzec, że upór tego rodzaju ze strony p. W. D. jest niczem nieuzasadniony i nie mógłby wychodzić z bezstronnego zapatrywania się na dobro miasta, ale wypadłoby go odnieść może do prywatnych niechęci i do protestów p. dr. Millereta podczas przeszłej kadencji. Uporem tym p. W. D. osłabiłby niezawodnie urok, jakim się otoczył po rezygnacji z swej kandydatury na prezydenta. Wątpić znowu należy, aby to, że p. Wacław Dąbrowski nie chce być wiceprezydentem pod panem Milleretem, miało być przeszkodą dla zwolenników p. W. D., aby za drem Milleretem głosowali. Jeżeli więc p. D. obstawać będzie przy swym uporze, to nam się zdaje, że znalezienie drugiego kandydata na wiceprezydenta nie nastęrczy wiele trudności.

Na tem miejscu nie zaszkodzi przypomnieć wszystkim członkom stronnictwa „Łączności i Zgody“, że ci moralnie są zobowiązani nieprzykładać nawet do pozoru ręki, któryby mógł uprawnić do mniemania, że popierają żywioły destrukcyjne i chcą na nowo wprowadzić ducha starej Rady do sali ratuszowej.

Stronnictwu, które potajemnie rzuca kość niezgody i nie może się oswoić z myślą, że panowanie jego skończyło się, mamy jeszcze to do nadmienienia, iż wiadome nam są szczegóły innych projektów, jakie się w zarozumienia odniesienia zwycięstwa miały przeprowadzać w obecnej Radzie. Program i wstępne konszachty, dotyczące pożyczki 2½ milionowej, są nam w takich subtelnych odcieniach znane, że odnośni reżyserzy nieprzypuszczają nawet, w jakich dokładnych w tym względzie i poprawnych telefonów posiadaniu jesteśmy. Jeżeliby ta wzmianka nie była wystarczającą, to w takim razie jesteśmy gotowi dać bliższe objaśnienia. W rzeczy samej nie dziwimy się pewnym śmiertelnikom, jak bankierom, dziennikarzom, mchem porośłym radcom, że w sercach ich zapanowała wielka żaloba, jeżeli jako biegli w ekonomji i finansach starali się już naprzód chociaż o „odpady“, jakie się przy takiej pożyczce uzyskać mogą.

Zarzuty, jakie pewna klika czyni szan. dr. Milleretowi, są nietylko nieuzasadnione, ale noszą charakter obrzydliwego oszczerstwa, po za którem każdy uczciwy obywatel dopatrzyć się może, po czemu łokieć towaru tego. O ile się dotąd da obliczyć, kandydatura p. dra Millereta odniesie zupełne zwycięstwo. Najwięcej strachu wzbudza ona w sferach urzędniczych magistratu, a mianowicie w wydziale budowniczym, który

wie, że to, co dotąd uchodziło, pod prezydenturą dr. Millereta uchodziłoby w żaden sposób nie mogło.

Gerson Haber. Jeden z najniebezpieczniejszych lichwiarzy lwowskich, zamieszkały przy ulicy Słonecznej, wpadł nareszcie w pułapkę i od kilku tygodni osadzony jest w sądzie karnym przy ulicy Halickiej, gdzie się odbywa śledztwo. Haber jest to bezsumienna pjawka, drwi sobie z wszelkich ustaw o lichwie, umie się zawsze jakoś w niepojęty sposób wykręcić i uczynić niedotykalmym przez paragrafy karne. Jego cynizm i znęcanie się nad ofiarami przemienia go nieomal w lwowskiego Szajloka. Pewnego razu jeden z jego klientów schwytał go na oszustwie w ten sposób, iż go mógł wprost oddać prokuratorji. Haber, dowiedziawszy się wpada, prosi i błaga o darowanie winy, składając winę na córkę, która go wprowadzić miała w błąd przez to, iż odebrała pieniądze bez jego wiedzy; Haber jednak tak się już poprzednio znęcał nad klientem, iż zniszczył go prawie zupełnie, tak iż ostatni postanowił być głuchym na wszelkie próby i wampira tego oddać sądom karnym. Następnego dnia rano wpada do poszkodowanego córka Habera, gdy on sam zostaje w sieni, rzucę się na kolana przed chorą żoną poszkodowanego i błaga litości chociażby tylko przez wzgląd na swą młodość, włóczy się u nóg z prawdziwie tragiczną werwą i uzyskuje absolucję dla ojca, który, jak *deus ex machina*, wpada, całuje po rękach, przysięga wdzięczność na całe życie. Łatwowierna ofiara lichwiarza miała jednak jeszcze jeden dług wekslowy do spłacenia, a był to weksel, składający się z samych procentów od procentów. O tem jakoś zapomniano, a Haber dłuższy czas ani się pokazywał. Nareszcie wyrabia egzekucję wtenczas, gdy wiedział, że dłużnik zapłacić mu nie może. Zwykle niektórzy woźni wobec takiej egzekucji są bardzo posłuszni skarżącym lichwiarzom. W rodzinie zaskarzonego była niebezpiecznie chora osoba; gdy nagle w dzień egzekucji naznaczonej na godz. 10. rano, tuż obok domu zaczęła się zbierać prawdziwa szarańcza handelesów i obszarwańców z rodu Izraela, którzy zwracali powszechną uwagę. Zaledwie na kilka minut przed 10 godz. raczył się dopiero zjawić pan woźny, nie nadmieniając ani słowa, jaki napad Haber przygotował, wypadek jednak zrządził, że dłużnik mógł należność całkowicie zaspokoić i w chwili, gdy brał od woźnego pokwitowanie pisemne, uderza godz. 10. na miejskim zegarze. W tej chwili Haber podnosząc łaskę, komendurę szarańczę żydów i na czele teje z piekielnym piskiem, wrzawą i szyderstwem wpada do mieszkania dłużnika, któremu nic innego nie pozostało, jak tylko przy pomocy łaski zmusić tę hałastrę do odwrotu. Kto zna rozkiełznane bestjalstwo takiej bandy, ten może mieć pojęcie, coby się było działo, gdyby dług nie był zaspokojony. Całe mienie i ruchomości byłyby rozszarpane, rozsprzedane za bezen, nielicząc ohydneho znęcania się. Znamy wypadki, że taka procedura i napady inscenowane przez lichwiarzy odbywają się, gdy nawet trupy leżą na katafalku, a pozostała wdowa lub rodzina pogrążone są w rozpacz. Gerson Haber należy do najnielitościwszych wampirów. Dochodzą nas jednak posłuchy, że i tym razem ma znowu nadzieję wysłiznięcia się z rąk sprawiedliwości, aby dalej drwić z wszelkich ustaw o lichwie.

Wstrętne wrażenie sprawia cynizm kobiety, który podczas postu wynalazł pewien rodzaj sportu dla zabicia czasu, w obecnej kadencji sądów przysięgłych przy ulicy Halickiej. Nie tylko sprawa truciicielki Onyszkiewiczowej spowodowała obłężenie sali sądów przysięgłych przez płęć piękną, ale i druga, która się rozpoczęła w czwartek i przedstawia drastyczne obrazy z wyuzdanego żywota. Otóż na sprawę tę dążą matrony, mężatki i panny; ciśnie się jedna przed drugą, aby po całych dniach do późnego wieczora lubować się zeznaniami i świadectwami nie bardzo licującymi z moralnością.

i wstydlivością kobiecą. Na galerii widzimy kobiety, które często można spotykać w tak zw. bardzo przyzwoitych towarzystwach. Cynizm kobiecy doszedł do tego stopnia, że się już ani matka przed córką, ani córka przed matką nie wstydzi. Zwykle po każdym drastycznym zeznaniu lub orzeczeniu, mężka publiczność zwraca oczy ku galerii dla sprawdzenia, jakie wrażenie opanowało pięć piękną. Spotyka się jednak tylko z cynicznym, zychwałym bezwstydem, a niektóre panie tylko rozszerzając palce zasłaniają oczy i nie kryją się wcale z lubym wrażeniem... I dziwić się tu, że młodzież nasza, posiadająca wszelkie kwalifikacje do stanu małżeńskiego, przemienia się na starych kawalerów i nie zdają w „parze“ do ołtarza. Znający lepiej „plac“ lwowski twierdzą, że pomiędzy młodemi słuchaczkami nie trudno odnaleźć przyszłe nauczycielki, guwernantki a nawet uczennice starsze, uczęszczające na pensje, które pomimo wiosny młodości usiłują nabyć jak najspieszniej najgruntowniejsze wykształcenie... Z takiego to społeczeństwa ma wyjść odrodzenie narodu!

Rodzime kulturträgerstwo. Ku wielkiemu zdziwieniu ujrzeli w zeszłym tygodniu mieszkańcy Lwowa na rogach ulic poprzyklepane plakaty, oznajmiające: „tak wielkiemu miastu jak Lwów, że w krótko utworzoną zostanie „piekarnia Karlsbadzka“, gdzie „robotnicy z zagranicy“ sprowadzeni, będą nas obdarzać wyrobami wiedeńskiego, angielskiego i francuzkiego białego pieczywa. Czy podobna blaga, a swoją drogą szkodliwy rozwój przemysłu, odniesie skutek, śmiemy wątpić, gdyż bądź co bądź „robotnicy z zagranicy“ nie tylko nie nowego nie nauczą naszych piekarzy, ale, o czem przekonani jesteśmy, nie zrównają im. — Gdyby firma Spółki pp. Tennera i hr. Mira otworzyła piekarnię, któraby co do wagi wywołała konkurencję piekarzy lwowskich, nazwalibyśmy takie postępowanie uczciwym, obywatelskim; — sprowadzanie jednak robotników zagranicznych w dzisiejszych czasach: Niemców lub Bemaków, to zakrawa na handełesowski cynizm w obec kraju, obliczony jedynie na szkodę i upadek naszego domowego przemysłu. Gdy nasi polscy piekarze przyjmowani są za granicą z otwartymi rękami, a nawet Francuzów i innych piekarzy nauczyli i uczą, jakżeż więc wypada nazwać tego, który błagą zagraniczną chce zaimponować?

TEATR.

Nie chcąc się powtarzać i mówić o rzeczach znanych, notujemy w tym tygodniu jedynie przedstawienie na głodem dotkniętych Szluzaków, na które, pomimo najusilniejszej pracy członków Komitetu, nie zebrało się nawet tyle publiczności aby wszystkie miejsca zapelnili. Nie mówimy już o drugim i trzecim piętrze, ale nawet na balkonie i w krzesłach dostrzedz było można nie obsadzone miejsca; pomimo więc że loże pierwszego piętra i parterowe płacono po 10 zł., dochód jednak wynosił tylko nie szafna 800 zł. Dobroczynność spełniła i tym razem główny obowiązek względem Dyrekcji teatru, recte p. J. Dobrzańskiego, któremu zmuszoną była zapłacić za przedstawienie okrągłych 500 zł. Za niższą cenę nie chciał się w żaden sposób zgodzić, aby—jego własny głód i nędza były zaspokojone. Już to co prawda, to prawda — w obec „passywów“, które p. J. Dobrzański jak tablice moźeszowe wystawia przed oczy zawierającym umowę o przedstawienia humanitarne, nędza ludzka bardzo małe z takich przedstawień odnosi korzyści. Prima charitas ab ego, oto hasło terażniejszej dyrekcji teatru, i z tego powodu, jak słyszemy, projektowanych kilka przedstawień na cele dobroczynne, których areną miał być teatr Skarbkowski, zmuszone są szukać gdzie indziej przytulku. Najzupelniej im w tym względzie przyznajemy słusność, bo każda inna sala czy to w ratuszu, czy w Kasynie mieścezańskim lub

w Narodnym Domu więcej przyniesie materialnej korzyści odpowiednio do celu, aniżeli w teatrze Skarbkowskim. Dyrekcya teatru postanowiła oszczędzać na czem może, to też w amiteatrze, czy efekt sceny tego wymaga czy nie — panują egipskie ciemności, gdyż nawet w międzyaktach tylko w drodze szczególnej łaski otwiera się kurek gazowy. O oświeceniu żyrandola nawet podczas takich przedstawień jak srodowe nie ma mowy. Byłoby także do życzenia, aby publiczność uczęszczająca do teatru, poleciła komuś zawieszenie w bufecie skarbonki celem zebrania składki na zreperowanie dzwonka, który ma dawać sygnał, że zbliża się podniesienie zasłony na scenie.

Na srodowym przedstawieniu odegrano po raz pierwszy komedję w 2. aktach prozą, napisaną przez J. A. hr. Fredrę (syna) p.t. „Ubogi czy bogaty“? Główne role odegrał tercet, składający się z (pni Aszpergerowej) „Elwiry“ hrabiny rzymskiej, „Sidlewicza“ jej męża, hrabiego rzymskiego, (pana Fiszera) i p. Zboińskiego w roli „Pana Jana“, dalekiego krewnego hrabiego. Akompanjowała pna Wisnowska i pan Lubicz. Głównym motywem w napisaniu tej komedji jest pomysł nie nowy, ale zręcznie wyzyskany w rodzaju Wujaszka z Ameryki, rodaka naszego, który wszędzie wschodził, gdzie go nie posiadano i gdy tylko zagrzmiła gdziekolwiek trąbka bojowa, z której tonów chociaż cień echa dobiegał o boju za wolność. Od roku 1848, jak wiadomo, nie obyla się bez Polaka żadna wojna lub nawet ruchawka, a Pan Jan był tam wszędzie. Poznańskie, Węgry, Krym, Włochy, Ameryka nawet Indja, Francya, Turcya, wszystkie te kraje widziały go z dobytą szablą lub z bagnetem do ataku. Nie jest to charakter idealny, wymarzony, ale prawdziwy, a właściwy tylko polskiemu tulactwu. Pomimo jednak takiej degeneracji osiadłego żywota obywatelskiego wraca na rodzinną ziemię na stare lata czysty na duszy, z trzeźwością umysłową, z gorącym sercem jak ongi za młodu, a zapewne już wdali marzył, że go orzeźwią na starość serca z tej samej krwi i kości. Przybył pod dach dalekiego krewnego, a raczej siostrzeńca, którego drzewo genealogiczne weszło na mandatary pod Kulikowem i na jakimś kantorze nie bardzo ciekawej sławy, a obecnie przedstawia się jako najświeższe rzymskie hrabiostwo. Pani hrabina, która w rzeczywistości zalicza się podobno do szlachty, a u której obecnie zaczyna się społeczeństwo ludzkie dopiero od barona, ma córkę Joasię, (pna Wisnowska) której lepsze zasady i pogląd na świat Boży, usiłuje zastosować do pojęć o hrabiostwie rzymskiem. O rękę Joasi ubiega się aż dwóch konkurentów niewidzialnych na scenie — jeden, jakiś książe z księżycą, a drugi baron, obydwaj z legji szarego zastępu rycerzy, jakich nie brak w XIX. wieku. Jest i trzeci konkurent, sąsiad Stanisław Opoliński, (p. Lubicz) polska serdeczna dusza, jak to mówią „do tańca i do różańca“ — szlachetny na wskrós, o którego miłości wie tylko wujaszek jego Pan Jan. Joasia wiedziała o niej także, ale zapomniiała, gdyż u niej zakiełkował zasiew mamy i papy, a taki szlachetny jak Stanisław, ma do domu wstęp wzbroniony. Pan Jan przyjęty pod dach i uznany chwilowo nawet za krewnego, gdyż przybywa z dalekich krajów, a wiemy z doświadczenia, że tacy wujaszek przynoszą często z sobą bardzo wiele „wartościowego“ ciepła. Wujaszek ma jednak absolutystyczne nawyczki nazywania rzeczy i ludzi po nazwisku, a nie go nie zdradza, że jest bogaty. To zaczyna żenować, gdyż wujaszek panuje wszędzie w domu, w dodatku nie rozstaje się z rewolwerem, który nosi za pasem (który autor mógł bezpiecznie umieścić w kieszeni) i nie ma z nim żartów. Do przedpokoju, a lepiej do garderoby lub do oficyn nie można go wepchać i przemienić na karbownika lub innego bezpłatnego „jalmużnika“. Nie chce się dorozumieć i nie wynosi się, chociaż hrabiostwo nie żalują stosownych recept. Gdy mu p. hrabia chce zaimponować stanowiskiem, pan Jan śmieje się w żywe oczy i przypomina

mandataryą pod Kulikowem. Pokochał on jednak Joasię i miłość swą chce na nią złać wraz z mienniem, łącząc ją ze Stanisławem. W nadarzonej chwili puka on do po-zciwego serca Joasi, wprowadza na szlachetną drogę, rehabilituje ją moralnie. Dla tej przyczyny znosi nawet z rezygnacją rzymsko-hrabiowską gburowatość i impertynencyę. A gdy strona za zbyt naciągnięta już ma pęknać, zażęgnuje burzę czarodziejskim... brylantem, wartości 40.000 franków, który jako familijny upominek wręcza pani hrabinie rzymskiej. Skutek niewątpliwy... Serce pani hrabiny i miłość rodzinna otwierają się dla pana Jana, jak podwójne wrota pakownej stodoly. Pan hrabia nie jeszcze o tem nie wie i wręcza Panu Janowi list kategoryczny, aby uwolnił od obecności swej i od pokrewieństwa pałac. Pan Jan z żalem zaznacza, że musi zmienić zamiar ulokowania na własność w rodzinie pięciu kroć stutysięcy dolarów. Pan hrabia rzymski lotem błyskawicy obliczywszy sumę tę na guldeny austriackiej waluty, przerażony jakby hukiem piorunu, pada na wpół nie żywy szczęściem — na fotel i o mało go „szlak“ nie trafił... Ale że we wszystkim jest modus in rebus, a więc i tu rzecz się kończy komicznie. Po poprzednim pysznym fajerwerku domowego werbla, raczej duetu wyrzutów państwa hrabiostwa, z pałacu ustępuje pan Jan, a w kilka chwil wraca z szlachetnym Stanisławem reprezentant domu Johanson et Comp., prosząc hrabiostwa o rękę Joanny, którą naturalnie otrzymuje i oddaje Stasiowi.

Jak wyżej powiedzieliśmy, motywa które autor obrał do komedji nie są nowe ale znakomicie wyzyskane, akcja cała przeprowadzona szczęśliwie z użyciem wszelkich warunków werwy scenicznej, a lokalny koloryt galicyjski jest tak wyborną reprodukcją fotograficzną, jakiej by się nawet p. Mieczkowski, mieszkający we Lwowie przy ulicy Pańskiej, nie powstydział. Autor, wprowadzając zaledwie kilka osób do dwuaktowej komedji, utrzymuje uwagę publiczności nieustannie i wprowadza ją w jaknajlepszy humor. Wprawdzie orzeczenie pana Jana, że można być baronem a nawet grafem rzymskim, ale jeszcze nie szlachecciem polskim, nie powiemy, aby wszystkim obecnym słuchaczom przypadło do smaku, wskutek czego po pierwszym akcie pewne sfery wahały się, czy uderzyć w powszechny poklask, — ale stanowca przewaga zdrowo patrzących przemogła. Zapadnięcie zasłony po drugim akcie było hasłem do frenetycznych i nieustających oklasków i kilkokrotnego przywołania obecnego w loży autora.

Komedja „Ubogi czy bogaty“ uzyska niezawodne obywatelstwo na wszystkich scenach polskich i długo się utrzyma. — Pani Aszpergerowa, niepotrzebujemy nawet mówić, że grała „jak Aszpergerowa“, a to dosyć. P. Zboiński, to niczem niezmordowany Herkules sceny lwowskiej; jeżeli na niego nie spadnie czarna godzina niesmaku, to szturmem, jakby z bagnetem w rękę, zdobywa sobie uznanie. Należy on do tych artystów, którzy z największą łatwością pojmują i odczuwają charaktery sceniczne, dlatego też dał takiego wujaszka, jakby nim sam był przez całe życie. Nie możemy tego powiedzieć tym razem o panu Fiszercie; nie zepsuł roli, bo jej Fiszercowi zepsuć nie wolno, ale nie był w roli rzymskiego hrabiego takim, jakiego nawykliśmy w innych rolach widywać. Coś tak wyglądało, jakby na ten wieczór był w wyjątkowej „łączości i zgodzie“ z budką suflerską. Panna Wisnowska była nie złą Joasią i tym razem w długiej wystąpiła sukni, a — jak się do nich przyzwyczai, będzie jej z tem wcale dobrze. P. Lubicz króciutką rolę oddał z ciepłem i prawdą.

Nie pojmujemy, co autora spowodowało do puszczenia na scenę tego wieczora drugiego utworu p. t. „Trzy Domina“, które sam nazwał żartem scenicznym w jednym akcie. Nie dosyć na tem, bo jeżeli to miał być w rzeczy samej „żarcik“, to wypadało go dać na pierwsze danie, a zakończyć „Ubogim czy bogatym“. Na-

